

# Syska, Henryk

---

## Adama Chętnika "Instrumenty muzyczne"

---

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 4, 445-449

---

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

---

Henryk Syska

ADAMA CHĘTNIKA „INSTRUMENTY MUZYCZNE” \*

Zadziwiająco wszechstronna jest osobowość twórcza Adama Chętnika (1885—1967). Wyróżniający się trwałą wiernością rodzinnemu ustroniu syn łomżyńskiego Nowogrodu w licznych dziedzinach umiejętności był nie tylko uznania godnym wykonawcą, ale też i pionierem, żarliwym poszukiwaczem przeszłości, szczególnie polskiej wsi.

Jeszcze w pierwszej dekadzie obecnego stulecia podrzucał czytelnikom „Zorzy” dojrzałe próbki swego pióra, by niebawem zużytkować je w miesięczniku Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego „Ziemia”. Nadsyłał tam rzeczy dotyczące Puszczy Zielonej, przeszłości i bieżącego życia środkowego dorzecza Narwi, wówczas mało jeszcze znanego w porównaniu do innych okolic kraju. Kiedy z początkiem 1912 r. dojrzała myśl wydawania „Drużyny”, czasopisma oświatowego dla młodzieży wiejskiej Królestwa, objął kierownictwo tej zasłużonej placówki wychowawczej. Dostępną publicystyką, wiązanym słowem i gawędą szerzył na łamach powierzonej Mu gazety myśl niepodległościową wśród nowizny ludowej, miłość do dziedzicznej zagrody, wdrażał najnowsze osiągnięcia w uprawie roli i roślin, tłumaczył konieczności zgodnego współżycia sąsiedzkiego. Przekonany o zdrowym duchu w zdrowym organizmie nawoływał do fizycznego usprawniania młodzieży chłopskiej, zaniebanemu zaś poczuciu piękna zalecał umiejętność posługiwania się aparatem fotograficznym, celując osobiście wyborcami, niepowtarzalnymi już dziś zdjęciami, sięgającymi rządów ostatniego cara Wszechrosji. Jeszcze przed pierwszą wojną światową targany wewnętrznym niepokojem gromadził, według własnych możliwości, lekceważone drobiazgi miejscowej kultury samorodnej, pierwociny późniejszego Muzeum na otwartym powietrzu u ujścia Pisy do księżnej rzek Mazowsza.

Puszcza Kurpiowska swoją dawną zagajnicą myszyńską przylegała do nie istniejącej już dziś granicy wschodniopruskiej. Przez kilka wieków przecinała ona etniczną wspólnotę osiadłych tu rodów, polskiej mowy i obyczaju. Nie uznawał tego sztucznego podziału za zjawisko trwałe Adam Chętnik, czego wyrazem była między innymi wydana tuż przed najazdem niemieckim obszerniejsza książka *Mazurskim szlakiem*, po wyzwoleniu zaś rozprawa zatytułowana *Mazurzy Pruscy na płaszczynie mazowieckiej*, która do rąk miłośników swojszczyzny doszła za pośrednictwem Instytutu Mazurskiego w Olsztynie.

„Od nas szła nad pruskie jeziora nasza kultura polska, nasz słowiański i polski obyczaj. W ziemię mazursko-pruską wsiąkał od wieków pot znojny naszych pierwszych kolonistów-rolników, oraz krew naszych wojów i rycerzy, broniących tej ziemi i naszej kultury przed gwałtem i grabieżą —” —

---

\* Adam Chętnik, *Instrumenty muzyczne na Kurpiach i Mazurach*, opracował Stanisław Oledzki, wyd. Pojezierze, Olsztyn 1983, 177 ss. + 2 ulb.

pisał wówczas Adam Chętnik. Dowodem wierności temu pogładowi będą niechybnie *Instrumenty muzyczne na Kurpiach i Mazurach*, rzecz bogato ilustrowana, udostępniona wreszcie czytelnikowi po długim oczekiwaniu. Przeważają w tym dziele przykłady z Puszczy Zielonej, z czego należy Autora usprawiedliwić w pełni. Nie mogło być inaczej, skoro samo przejście granicy, nie mówiąc już o poszukiwaniach badawczych pod okiem czujnych władz wschodniopruskich rzadko tylko było możliwe. Większość zatem danych należało zdobywać sposobem raczej przemysłowym. Co innego swojska, nastrojowa przygrywka spod Myszynca, Pełt czy Chorzel. Ta bez trudu pokonywała kordony, by rozgościć się w Rozogach, Klonie i Opaleńcu, a po latach wrócić do miejsc urodzenia, wzbogacona nowymi odcieniami, słowa i melodii.

Czy istotnie — jak twierdził Tadeusz Sygietyński — natura upośledziła słuchowo lud kurpiowski? Jest raczej prawdopodobne, że łowiąc melodie dla tworzącego się „Mazowsza” zaglądano przypadkiem do wiosek mniej ciekawych, a wśród kandydatów trafiano na mało uzdolnionych. Zaprzeczeniem bowiem tego sądu był dorobek Oskara Kolberga, wsparty po latach pracą Władysława Skierkowskiego, uwieńczoną widowiskiem „Wesele na Kurpiach” (1928). Spokojny sprzeciw zawiera też omawiana praca Adama Chętnika — „*Instrumenty...*”, przejrzystość wykładu idzie tu w parze ze znawstwem przedmiotu, a rozważania teoretyczne i osobiste prowadzą do ciekawych wniosków. „Nie tylko lubiłem muzykę, ale będąc w młodych latach grajkim weselnym i to wioskowym miałem sposobność poznania nie tylko melodii, ale i przeróżnych instrumentów muzycznych, zwanych nieraz statkami i narzędziami do grania. Niektóre sam naprawiałem i robiłem, tak jak mój ojciec. Nie puszczając jeszcze wtedy, że i dawne tańce, wiwaty czy marsze, jak i mało dziś znane stare instrumenty przedstawiają dużą wartość dla naszej nauki i kultury, jako że wytwór wiejski, ludowy są ważnym, a cennym dorobkiem naszej starej, nie pisanej kultury regionalnej i ogólnonarodowej —” — czytamy w odautorskim wstępie. Tak bywało nie tylko w przypadku Adama Chętnika. Nie wszyscy, ale znaczna część dawnych, wędrownych muzykantów obrzędowych nie stroniła od majsterkowania. Zwłaszcza, gdy nie wymagało ono kosztowniejszych narzędzi. Najwykleszy w świecie, składany nożyk, nabywany u szmacciarza, młotek i dłuto spełniały tu zasadniczą rolę. Umiejętność przechodziła dziedzicznie z pokolenia w pokolenie, była więc tradycyjnie szanowana. Na przełomie XIX i XX w. Puszcza Zielona i pobratymcze jej dawne Mazowsze Pruskie zadziwiały jeszcze urodzajem rzemiosła, w tym i wyrobem instrumentów muzycznych. „Instrumenty muzyczne robią sobie Kurpie sami — czy to różne dudki drewniane, czy flety z rur żelaznych, czy skrzypki, w wyrobie których doszli niektórzy do wysokiej wprawy i zręczności —” — zapewnia Adam Chętnik. By nie być posądzonym o gołosłowność, sięga po przykłady: „We wsi Korbia żył dawniej Kurpiak, który reperował i stroił organy po kościołach, a nawet zbudował sobie w domu małe organy z drewna. Staroświeckie rogi do grania wyrabiał Roch Świder ze wsi Pełty, a ciekawe rożki klarнетowe — pastuch i rybak z Nowogrodu Czesław Kamiński. Olbryś z Dębnik, gmina Gawrychy wyrabiał skrzypki z rzeźbionym, końskim łbem, wieńczącym szyjkę instrumentu ——. W każdej niemal wsi są chłopcy, którzy do dziś potrafią wyrabiać dudki oraz fujarki i duże ligawki z korzeni. Dalsze zdolności w tym kierunku dadzą się jeszcze na Kurpiach rozwinąć”.

Przemysł wtargnął wówczas w tę dziedzinę. Jego wytwory wpychały się

na sklepowe półki i do straganów. Taniością swoją wypierały coraz bardziej wyroby domowe. Gwałtownie spadać też zaczęło znaczenie samorodnego lutnictwa i innych, krewniczych powołań. Rzemieślnicy przeżywali gorzoc rozstawania się z kieszko co prawda płatnym, ale umiłowanym zawodem. Do końca jednak zostali wierni nabytej doskonałości. „Pracę przy wyrobie instrumentów grajkowie traktowali z zamiłowaniem: tak samo przy naprawach lubili «dulcyć» godzinami i całymi dniami. Dopiero po wypróbowaniu instrumentu oddawali go właścicielowi” — zachwyca się Adam Chętnik.

Wioskowa muzykalność nie tylko dawnego pogranicza wiele ma do zawdzięczenia bezpośredniej więzi z przyrodą, współżycia z nią na co dzień. Szczególnie bór odwieczny, tajemniczo rozszepcany, to znów niepokojąco zaciszny, wypełniony pogłosem ptaków i zwierząt w dramatycznych walkach o przetrwanie i radosnych uniesieniach nabiera tu szczególnej doniosłości. Pędzone do przedwczesnych obowiązków dziecko chłopskie, chadzające za stadem gęsi, znoszące zielsko dla trzody chlewnej, czy też odpędzające krowy od upraw poszukuje rozrywki, by południe szybciej przywołać, przybliżyć też zachody słońca. Pomocą, w zasięgu własnych możliwości, jest muzykalność, wydobyta z umiejętnie przysposobionych części roślin. Właściwie przycięta trzcina wodna mogła służyć za piszczałkę. Pianie młodego, ledwie co wypierzonego kogucika przypominał dźwięk przyłożonego do warg, wydłużonego listka trawy. Echo podobne owcemu pobekiwanu wydmuchać można ze źdźbła majowego żyta. Osobliwe miejsce w tych możliwościach zajmuje soczysty i bujny tatarak, z którego „wycmokać” nie trudno było pisklenie kurczą. Zda się też do czegoś oczyszczone wewnątrz gęsie pióro, wygrzebana z mułu i przesuszona muszla, ścięta jednostronnie łupina orzecha laskowego. Odstawianie polek i obertasów z pomocą lipowego listka, grzebienia i płochy było jednym z wdzięczniejszych popisów. Określenie fujarek wierzbowych weszło do skarbcza naszej twórczości lirycznej. Gwizdanie przez zęby zwłaszcza na palcach to sposób porozumiewania się zagubionych w lesie, odtwarzający sejmikowanie żabie, cirykanie kuropatw, krakanie wron...

A w Zielonej, w Myszynieckiej  
hukają puszczyki,  
to Padlewski, Zygmunt dzielny  
zwołuje Kurpiki — —

— pisała Maria Konopnicka o puszczańskich strzelcach w partyzanckim boju powstania styczniowego.

Pasiecznicy ostrołęckich kniei jako jedyni z królewskich poddanych w przedrozbiorowej Polsce mieli prawo noszenia broni palnej. Wymagała tego ochrona barci przed obcymi amatorami drogocennego miodu i wosku. Nie tylko do przechowania prochu służył strzelcom kurpiowskim obrobiony odpowiednio bydlęcy róg. Dopełniony ustnikiem był narzędziem, obwołującym niebezpieczeństwo, skrzykiwał ludzi do wiecowania, wspierał zagubionych. Po udanych częściowo próbach „rozbrojenia” puszczań, co nastąpiło już w pierwszych latach Królestwa, muzykalność rogu wykorzystywali pasterze wioskowi, dając nim znać o przystępowaniu do swoich, codziennych obowiązków. Odgłosy dzwonek, umocowanych na sztychach krów i owiec roznosiły się na znaczne odległości. Prawdziwa symfonia prymitywnych dźwięków. W długie wieczory zimowe, przede wszystkim grudniowe, gdy spadły na ziemię pierwsze przymrozki słychać było na równicach nawoływanie ligawek: „Zwyczaj ten panował z obu stron granicy — —. Niekiedy wieczorami młodzież sygna-

lizowała do siebie na trąbach i ligawkach z bliższych wiosek Mazowska Pruskiego czy nadnarwiańskiego — A ligawki słychać było w cichy wieczór w promieniu kilku kilometrów. Melodie ligawkowe w Prusach Wschodnich były podobne jak u nas” — przypomina Autor *Instrumentów*, załączając pod słuchany przed laty odpowiedni zapis na pięciolinii. „Sygnał ten znali i gospodarze i bydło. Krowy wydajone już wcześniej wybiegały same za wrota i gromadnie porykując szły na paśnik. Pastuch trąbił i dalej po drodze, a muzyki tej krowy tak słuchały jak ludzkiego głosu, idąc wolniej lub prędzej, omijając zboże po drodze, w czym dopomagał jeszcze specjalnie wytresowany pies — owczarek. Zwyczaj ten panował z obu stron granicy” — podaje Adam Chętnik. Potwierdzenie tego, co już przed 150 laty z romantyczną kwiecistością wyłożył Łukasz Gołębiowski:

... „Bydło na wsi spokojniejsze, gdy piszczałkę usłyszy albo multankę: ognisty koń wojownika drży z radości na odgłos trąby: psy polowe muzycznemu hałasowi myśliwych ochoczo posłuszne — Podobnież i dla człowieka muzyka jest mową serca”.

Słówko o multankach. Złożone z różnej długości rurek wyprzedzały budową i wielogłosem znane do dziś organki, tyle tylko, że w Puszczy Zielonej robiono je z korowej otoczki bzu, wierzby lub trzciny.

W kotły, bębny uderzono,  
Na wojenkę rozkazano — —

— użala się jedna z najstarszych polskich pieśni żołnierskich nad dolą powołaną do szeregów młodzieży. Z użytkowania obozowego przeszły te hałaśliwe, wzywające do gotowości instrumenty na własność ostrołęckich puszczan. Z sosnowego, półmetrowego odziomka wyrabiali bębny powstańcy kurpiowscy lat 1831 i 1863. Silnie naciągnięta ogółocona z sierści skóra barania brzmiała donośnie pod uderzeniami pałek. Jeszcze do r. 1814 „obębniał” ważniejsze zarządzenia miejscowej władzy woźny gmin przygranicznych, tyle tylko, że na przyborze o boku blaszanym lub łubowym. Tradycyjnie „obębnianiem”, nazywano aż do ostatniej wojny światowej każdą próbę nawiązywania łączności „stójkowego” z tłumem jarmarcznym, chociaż ten pracownik urzędu potrzasał już tylko najzwyczajszym dzwonkiem. Ocieżałe bębny dawno przeszły do zaccisa wspomnień, by ustąpić miejsca małym, podrobionym z przetaka bębenkom, wystukującym rytmy na zabawach i godach weselnych.

Przy znaczniejszych tylko wystąpieniach i uroczystościach kościelnych, podczas pielgrzymek między innymi do Gietrzwałdu na Warmii czy do Świętej Lipki na Mazurach nie obeszło się bez udziału kotła. Kutego z miedzi, niesionego przez dwóch krzepkich pątników. Kiedy po wydarzeniach buntowniczych 1905 r. nastąpiły pewne, dostrzegalne swobody obywatelskie w Królestwie, towarzyszyły kotły masowym wystąpieniom patriotycznym. Przechowywane w bocznicach kościołów Dąbrówki, Nowogrodu, Łysych i Zbójny przepadły na zawsze przed odzyskaniem niepodległości. Przetopione w hutach niemieckich na kule i armaty podzieliły smutny los tysięcy dzwonów.

W krążącej przed kilkudziesięciu jeszcze laty na południu ostrołęckiego Ponarwia opowieści można było podziwiać oczekiwanie i wątpliwości uzupełniających się instrumentów muzycznych przed zapowiedzią okolicznościowego uctowania. Zniecierpliwione co nieco, zawsze jednak pełne nadziei skrzypce, tonacją najwyraźniej ponaglącą docinały:

Będziem jedli, będziem pili,  
będziemy się weselili...

Pomrukując niedowierzająco gasiła ten przedwczesny zapal stateczna o wydatniejszych kształtach, wsparta na podłodze basetla, głosem przypominającym buczenie trzmiela:

Jak Bóg da! Jak Bóg da! Jak Bóg da!

W Puszczy Zielonej basetla znana była pod nazwą „maryny”. Bardzo łatwej w użyciu, traktowanej dość pobłaźliwie. Jak niespodziewanie weszła, tak też i szybko wyszła z użytku ludowych rzepełów. Trwałe stanowisko pod kurpiowsko-mazurskim niebem zajęły natomiast skrzypce, rzadziej ze współudziałem klarnetu. Na kaflach mazurskich, począwszy od końca XVIII w. często spotykane są malowidła z wizerunkiem skrzypiec. Przygodnych graczy na tym instrumencie miewała zwykle każda liczniejsza wieś puszczańska. Zapamiętane obracali smykem po strunach na każde zawołanie, spełniali bez ociągania każdą prośbę dzieci i młodzieży, obecni przy jesiennym darciu pierza, zbiorowym szatkowaniu kapusty, nie przepuszczali chrzcin i innych obrzędów rodzinnych. Oczywiście bezinteresownie, na zasadzie przysługi sąsiedzkiej. Najwierniej odbierali stare melodie, dorzucali do nich coś od siebie. Wielu z nich było prawdziwymi sztukmistrzami w tym umiłowaniu, jak Łukasz Serafin ze wsi Baliki, Paweł Baclawski z Lelisa, lub Kisiel ze Zbójny. Na szczególne wyróżnienie zasługuje Smigiel z Łysych. To już nie tylko według miejscowego wymiaru wirtuoz, ale i kompozytor co się zowie. „Grał on pięknie — wesoło albo smutno i rzewnie, «całkiem do płacu», grał i przyspiewywał razem. Wykonywał też własny utwór, zaczynający się od słów: «a moja jełochna gdzie mi się podziała», szukał wtedy «jełochny», a skrzypcami wygrywał jej beczenie, płacz szukającej, «jełochny» dziewuchy, potem jak krowa ryczała, potem bek radosny, a wreszcie gdy ją odnalazł, grał wesoło i skakał razem”. Albo Seweryn Tyc, mieszkaniec nadgranicznych Pełt. Na skrzypkach własnej roboty ze świerkowych deszczulek urzekał swych słuchaczy. „Kiedy zapalił mu się dom, ratował przede wszystkim skrzypce, a gdy je wyrwał z ognia, usiadł opodał za stodołą, nastroił i zaczął grać. Resztki domu palą się, ludzie płaczą, a on gra — «Com uratował, tem się cieszę» — odpowiadał”.

Zjawisko wprost niepojęte, w dzisiejszych czasach. Dlatego: dobrze, że ukazało się wypracowane sercem, wiedzą i doświadczeniem dzieło Adama Chętnika. Już Sokrates twierdził, że „muzyka łagodzi obyczaje”. W nie tak dawnych jeszcze czasach na wsi, gdzie zbliżenia sąsiedzkie bardziej niż gdziekolwiek warunkowały niezbędną w zaspokajaniu codziennych potrzeb spójność gromady, instrument dźwiękowy i umiejętność posługiwania się nim w każdej potrzebie były znakiem wyróżniającym, dodającym powagi. Ponadczasowo też niezbędnym bodźcem dokuczliwie ostatnio zaniedbanego rozwoju osobowości.